
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

W historiografii dotyczącej powstania styczniowego wyraźnie rysuje się udział księży katolickich w różnych formach wspierania tego ogólnonarodowego zrywu wolnościowego. Duszpasterska posługa stanowiła ważny czynnik wspierający powstańców w trudnej drodze do wolności Ojczyzny. A gdy powstanie upadło zaborca skutecznie zadbał o to by za tę patriotyczną i niepodległościową postawę zesłać na Syberię wiele tysięcy jego uczestników, wśród których byli także i księża. Ostatnio pisał o tym Eugeniusz Niebelski w książce pt. *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*, opublikowanej w oficynie wydawniczej „Biblioteka Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, Wrocław 2012. Zesłany też wówczas został ks. Stanisław Matraś, wikariusz z Krzeszowa nad Sanem w diecezji lubelskiej, który opis swych syberyjskich losów zawarł w książce zatytułowanej *Podróż do Syberii po moskiewskich etapach w 1863 i 1864*, Lublin 2007.

Ks. S. Matraś pochodził z Lubelszczyzny, urodził się bowiem w Biłgoraju. Ukończył lubelskie seminarium duchowne, gdzie 17 czerwca 1860 r. wyświęcony został na kapłana. Posługę duszpasterską rozpoczął we wspomnianym Krzeszowie. Tam też zaangażował się w działalność patriotyczną, a jedną z jej form było odbieranie od przyszłych powstańców przysięgi na wierność Ojczyźnie oraz duchowe wspomaganie ich w niepodległościowych przedsięwzięciach.

Za działalność tę ks. S. Matraś został aresztowany i zesłany na Syberię. Zesłańczy szlak opisał we wspomnianej powyżej książce, z której pochodzi publikowana poniżej relacja. Pobyt na zesłaniu rozpoczął (1864) we wsi Iczory

w guberni irkuckiej, potem otrzymał zgodę na przesiedlenie się do Czechujska, a od 3 lutego 1866 r. osiadł w Tunce osadzie polskich księży zesłanych osiedlonych tam po powstaniu styczniowym. W 1875 r. opuścił Tunkę i przybył do Rostowa, a następnie mieszkał w Sławianoserbsku. Stąd po zwolnieniu (1881) wyjechał do Galicji i zamieszkał w Założcach w powiecie Brody gdzie w był kapelanem sióstr miłosierdzia. Tu zmarł 11 lutego 1917 r.*

*

Ks. Stanisław Matraś – *Etapem przez Ural na Sybir*

W Niżnim Nowgorodzie bawiliśmy bardzo krótko, bo zaledwie parę dni. Dnia 16 lipca wyruszyliśmy z niego po etapach do miasta Kazania. Na nasze szczęście trafiliśmy w Niżnim Nowgorodzie na etapach oficera, Polaka, który przyjął nas grzecznie, ulokował w najlepszej kazamacie i przeprowadził do następnego pólétapu

Chociaż z Niżniego Nowgorodu kursowały parowe statki po rzekach Kamie i Wołdze, i rząd moskiewski mógłby był odesłać nas na nich tańszym kosztem do miasta Kazania i Permy, mszcząc się na więźniach Polakach, wołał ponieść potrójny koszt i wysłał nas po swych etapach razem ze złodziejami, podpalaczami i rozbójnikami.

Podczas naszej kilkutygodniowej podróży, którą odbywaliśmy piechotą do Kazania, nie zdarzyło się nic tak szczególnego, co by zasługiwało na wspomnienie. Wprawdzie doznaliśmy wielu niewygód w tej całej podróży i różnych przykrości ze strony moskiewskich urzędników, etapnych oficerów pijaków, żołnierzy, a także ze strony złodziei i rozbójników, naszych towarzyszy podróży, ale te nieprzyjemności były chwilowe i kończyły się zwykle na wzajemnym kompromisie.

W każdej aresztanckiej partii, maszerującej po etapach do Syberii odgrywa główną rolę sześć osób, to jest: starosta, podstarosta, dwóch majdańszczyków i dwóch paraszników. Starosta i podstarosta są wybierani przez ogólne głosowanie wszystkich aresztantów; na którego z aresztantów padnie większa liczba głosów, ten zostaje starostą albo podstarostą całej aresztanckiej partii. Obowiązki ich są następujące: odbierać co trzeci dzień od etapnego oficera żołąd dla aresztantów i takowy im rozdawać, być obecnym przy sprawdzaniu rządowych rzeczy, przyjmować od ofiarodawców mięso, chleb, bułki, cukier, herbatę, bieliznę i garderobę, i dzielić pomiędzy wszystkich aresztantów należących do partii.

Majdańszczyki są to tacy aresztanci, którzy zajmują się przez całą drogę handlem; oni wynajmują od całej partii majdan, czyli prawo prowadzenia handlu. Majdańszczykiem może zostać taki aresztant, który na publicznej licytacji zapłaci partii więcej pieniędzy. Obowiązkiem ich jest kupować w miastach i sprzedawać w czasie podróży na etapach po umiarkowanej cenie następującego produktu: cukier, herbatę, tytoń, papierosy, świece łojowe, karty. Karty wypo-

* Dane do biogramu zaczerpnięto z: S. Matraś, *Podróż do Syberii po moskiewskich etapach w 1863 i 1864 roku*. Opracował i wstępem opatrzył Eugeniusz Niebelski, Lublin 2007. Z książki tej pochodzi fragment publikowanej poniżej relacji. Zobacz też: E. Niebelski, *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców w 1863 roku*, Wrocław 2012, s. 326.

zyczącą zwykle aresztantom na jeden lub dwa wieczory. Jeżeli karty zabrudzą się od rąk grających, w takim razie majdańszczyki czyszczą je zwyczajnym łojem ze świec i wycierają na sucho grubym sukniem.

Paraszkarzy sami aresztanci godzą i najmują za własne pieniądze na jedną lub dwie gubernie; ich obowiązkiem jest przynosić w cebrze do etapu ze studni lub rzeki wodę potrzebną dla aresztantów, palić w piecach i oczyszczając etap lub półetap.

Moskale i Sybiracy mieszkający przy głównym trakcie do Syberii mają bardzo piękny i chwalebny zwyczaj, o którym także należy uczynić małą wzmiankę. Gdy aresztancka partia zbliża się do jakiegokolwiek bądź wsi lub małego miasteczka, żołnierz uderza w bęben. Jeżeli zaś konwój nie posiada dobo-sza, to w takim razie starszy lub młodszy podoficer gwiżdże w świstawkę i daje znać mieszkańcom tej osady, że aresztanci maszerują do Syberii. Mieszkańcy, usłyszawszy sygnał, wybiegają z chat na ulicę z różnymi ofiarami w rękach do zbliżających się aresztantów. Kiedy aresztanci wejdą w sam środek wsi, wtedy każdy z ofiarodawców zbliża się do starosty i na jego ręce oddaje swój dar, który zwykle składa się z chleba, bułek, kołaczy, szynki i innych produktów żywności; drudzy dają starą bieliznę, odzież; inni znowu pieniądze, kilka lub kilkanaście kopiejek. Każdy mężczyzna, nim doręczy staroście wspomnianą wyżej jałmużnę, zdejmuje czapkę, czyni na sobie trzy razy znak krzyża świętego i oddając jałmużnę mówi te słowa: „Przyjmij ten kawałek chleba dla swych nieszczęśliwych braci w imię Chrystusa, którego nam Bóg posłał”. Starosta zebrane ofiary składa na przygotowanym na ten cel wozie i dopiero potem, gdy aresztanci przyjdą na etap, sam rozdaje pomiędzy nich owe produkty i stara się każdemu wydzielić jednakową porcję. Gdyby, który z aresztantów spostrzegł, że podział nastąpił nie w równej mierze, to w takim razie ów aresztancki dygnitarz otrzymałby wkrótce bolesne plagi lub też został wypoliczkowany.

Widziałem nieraz na własne oczy, jak aresztanci w przechodzie przez ludną i bogatą wieś lub miasteczko naładowali dwa, a czasem i trzy pełne wozy bułek i chleba. Słowem, trzeba przyznać, że Moskale i Sybiracy mieszkający przy głównym trakcie syberyjskim są bardzo miłośni, litościwi i wyrozumiali na niedolę skazańców i wspierają ich w potrzebie.

Przechodząc przez niżegorodzką gubernię byliśmy świadkami zabawnej sceny, jaką odegrał jeden z aresztantów, piętnastoletni Żydek kantonista, który uciekł z Orenburga z wojskowego zakładu kantonistów¹, z konwojnymi żołnierzami, prowadzącymi go przy aresztanckiej partii na powrót do wspomnianego wyżej miasta. Rzecz miała się tak:

¹ Kantoniści – dzieci polskie z terenów Królestwa Polskiego wychowywane w wojskowych szkołach rządowych na terenie Rosji, w latach 1832-1848 sieroty po byłych wojskowych, z nieprawego łoża po ojcach wojskowych, z rodzin w tragicznej sytuacji materialnej, z zakładów opiekuńczych, uprawiające włóczęgostwo, żebrzące. Do batalionów kantonistów wcielano na ogół dzieci kończące siedem lat, bywały młodsze, jak też starsze, po uzyskaniu wieku poborowego oddawano je do armii rosyjskiej. Wokół tej sprawy narosło wiele legend, na ogół uważano, że dzieci polskie dostawały się w ręce rosyjskie w ulicznych łapankach, pędzono je na Sybir, masowo umierały z głodu. Zob. o tym W. Caban: *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii carskiej 1831-1873*, Warszawa 2001.

Na szerokim, zarosłym już zupełnie trawą gościńcu, którym maszerowaliśmy do Kazania, a po którym rzadko kto już jeździł, rosły piękne i bujne poziomki. Wspomniany Żydek zaczął je zbierać i smacznie zajadać, nie zważając na to, że pozostawał coraz dalej z tyłu za partią. Konwojni żołnierze upominali go kilka razy, ażeby nie odstawał, lecz gdy to nie pomagało, jeden z żołnierzy uderzył go kolbą w plecy. Żydek upadł i zaczął przeraźliwie krzyczeć. Wówczas oficer jadący konno na przedzie, usłyszawszy hałas, zatrzymał pochód całej partii, a dowiedziawszy się, o co chodzi, kazał Żydkowi włożyć kajdany i posadzić go na wozie. Lecz złośliwy Żydek, ściągnął zaraz kajdany z rąk aż ze skórą i rzucił je z przekleństwem na ziemię. Widząc to konwojni żołnierze wydobyli znowu ze skrzyni nowe, ciaśniejsze kajdany i zakuli powtórnie tego zuchwalca, który już ze złości nie wiedząc, co ma robić, rzekł oficerowi, że trzech więźniów Polaków uciekło z partii i skryło się do żyta rosnącego tuż przy gościńcu.

Oficer, nie domyślając się podstępu, postanowił sprawdzić liczbę aresztantów i, jak zwykle, ustawiono nas w szeregu. Pierwszy raz nas rachując, zdawało się oficerowi, że rzeczywiście brakuje w partii kilku aresztantów; za drugim razem okazało się, że jest więcej nad liczbę pięciuset; słowem, ta nieznośna i nudna moskiewska rachuba trwała przeszło dwie godziny, pomimo to, że był upał i gorąco nie do zniesienia. Nareszcie, za czwartym razem, oficer i podoficerowie przekonali się, że wszyscy aresztanci są w komplecie, więc wyruszyliśmy w dalszą podróż.

Po przybyciu partii do pólétapu na nocleg, aresztanci Moskale postanowili surowo ukarać Żydka kantonistę za to, że z przyczyny tegoż staliśmy przeszło dwie godziny czasu na słonecznym skwarze. Wyrok wydany na kantonistę został wkrótce wykonany: aresztanci katorżnicy porwali go do swej kazamaty, zapchali mu usta szmatą, ażeby nie mógł krzyczeć, oćwiczili go, co tylko włązł i wyrzucili z kazamaty do sieni.

Nareszcie po kilkutygodniowej podróży przyszliliśmy do Kazania, w którym bawiliśmy zaledwie kilka dni. Tutaj pomieszczono nas, Polaków, w głównym więzieniu, ale nie w aresztanckich kazamatach, tylko w żołnierskiej karaułce, której trzy okna wychodziły na ulicę. Wielu Tatarów i studentów kazańskiego uniwersytetu, przechodząc mimo, wrzucało nam przez owe okna bułki, kołaczki i pieniądze.

W kazańskim więzieniu widzieliśmy szczególnego aresztanta, bo dziesięcioletniego chłopca zakutego w ciężkie kajdany na obie nogi. Chłopak ten z namowy swojej matki podpalił jakiś dom i za to został wtrącony do więzienia. Kiedy wezwano go do sądu, to aż dwóch żołnierzy uzbrojonych w karabiny konwojowało tego małego zbrodniarza. Wszyscy śmieliśmy się z tej moskiewskiej głupoty i formalistyki, bo jeden żołnierz mógł wziąć tego malca na rękę i zanieść go do sądu bez żadnej trudności.

Gdy wkroczyliśmy do permskiej guberni wielu aresztantów Moskali, a także kilku Polaków z naszej partii zachorowało na tyfoidalną gorączkę. Ponieważ szpitale przeznaczone dla chorych skazańców są bardzo daleko jeden od drugiego pobudowane, więc konwojni żołnierze kładli po kilku chorych na jeden wóz i wieźli ich przy partii do najbliższego szpitala, a podróż taka chorego pacjenta trwała czasem kilka lub nawet kilkanaście dni, toteż zdarzało się często, że chory umierał w drodze. Wówczas żołnierze oddawali trupa sołtysowi najbliższej wioski, aby go pogrzebał na prawosławnym cmentarzu.

Zbliżając się do Uralskich gór, zachorowałem także na tyfus, straciłem zupełnie przytomność i nie pamiętam, co się ze mną działo w tym czasie. Jedno tylko przypominam sobie, że żołnierze wieźli mnie ciągle na jednym wozie z chorym, starym Olszańskim i że dwóch towarzyszy podróży: Antoni Wiszniowski i niejaki Krasuski, szlachcic z Podlasia, pielęgowali mnie podczas tej ciężkiej choroby, poili herbatą, okrywali, znosili z wozu na swych rękach do etapów i na powrót kładli na wóz. Dopiero po trzech tygodniach choroby odzyskałem przytomność w mieście Kungurze i poznałem moich towarzyszy podróży.

Na jednym etapie zachorował także na tyfus mój opiekun Krasuski, który zrywał się w malignie po nocach, krzyczał przeraźliwie i nie dawał nam nawet ani pół godziny zasnąć w nocy. Pewnej nocy, kiedy wszyscy zasnęliśmy po całodziennym podróży, Krasuski w gorączce zerwał się z pryczy, wyskoczył w jednej bieliźnie na dwór na trzydziestostopniowy mróz i śnieg po kolana i zaczął biegać około etapu. Żołnierz stojący przy bramie na warcie mniemał, że któryś z politycznych więźniów zamierza uciekać i dlatego chciał już strzelić do niego. Tymczasem, gdy przyjrzał mu się bliżej, zauważył jego lekki kostium i domyślił się zaraz, że to musi być jakiś chory na tyfus, wpadł do żołnierskiej karaułki, w której spaliśmy, zbudził nas wszystkich i powiedział: „Panowie! Jeden wasz towarzysz chory biega po śniegu prawie nagi, idźcie prędko i weźcie go do izby, zmarznie”.

Kilku zdrowych kolegów wybiegło zaraz na dwór i przyprowadziło Krasuskiego do karaułki, obawiając się zaś, aby nie uciekł na mróz powtórnie, związali uciekinierowi nogi swymi paskami i przywiązali go do pryczy.

Wkrótce potem zostawiliśmy chorego Krasuskiego w najbliższym szpitalu. Co się z nim stało, czy umarł, czy też wyleczył się z tej choroby, nie wiem, bo nie spotkałem go nigdzie w Syberii.

W Permie mieliśmy tylko trzy dni odpoczynku i pomaszerowaliśmy dalej do Tobolska. Partia nasza, składająca się z pięciuset osób, zmniejszała się ciągle w każdej prawie guberni. Chorzy aresztanci zostawali w drodze po różnych szpitalach, a kilkudziesięciu zdrowych aresztantów, przeznaczonych na mieszkanie do kazańskiej, wiackiej i permskiej guberni, zatrzymano w gubernialnych więzieniach.

Do Tobolska przybyliśmy dnia 29 listopada 1863 roku i tam zastaliśmy kilkudziesięciu Polaków, politycznych więźniów, umieszczonych w więziennym szpitalu, ponieważ byli chorzy. Smotrytiel więzienia ulokował nas, Polaków, w aresztanckich kazamatach i karmił śmierzdzącymi więziennymi potrawami.

Na trzeci dzień po naszym przybyciu do Tobolska przyjechał do więzienia gubernator Zenowicz (Polak, katolik, bardzo zacna osobistość)² i wizytował wszystkich przybyłych do więzienia aresztantów. Korzystając z tej wizyty gubernatora, oskarżyliśmy przed nim nadzorcę więzienia, że pomieścił nas razem ze złodziejami i rozbójnikami i daje nam daleko gorszy wikt, aniżeli tym politycznym więźniom Polakom, którzy mieszkają w „dworiańskich” (szlacheckich) kazamatach i przyjeżdżają pocztą z żandarmami do Tobolska.

² Aleksander Despot-Zenowicz (1826-1897) gubernator tobolski, otaczany szacunkiem przez polskich zesłańców za bardzo życzliwy stosunek do nich i okazywaną pomoc.

Gubernator, wysłuchawszy naszej prośby, zburczał nadzorcę wobec nas i kazał nas pomieścić w izbie przeznaczony dla szlachty i wikt dawać taki, jaki się nam należał. „W przeciwnym razie – dodał – pociągnę pana do odpowiedzialności i surowo za to ukarzę”.

W Tobolsku bawiliśmy pięć dni a po upływie tego czasu wyruszyliśmy w dalszą podróż do miasta Tomska. Partia aresztancka, która wyszła z Tobolska dnia 4 grudnia, składała się z trzystu osób. Wszyscy chorzy Polacy zostali w tobolskim więziennym szpitalu, tylko pięciu nas zdrowych, to jest: Franciszka Woźniackiego, chirurga z lubelskiego szpitala Braci Bonifratrów³; Józefa Kowalskiego, zecera z Lublina; Grzybowski, oficjalistę hrabiego Platera z Dyneburga; Olszańskiego, obywatela z Litwy i autora niniejszego opowiadania przyłączono w Tobolsku do tej aresztanckiej partii i wysłano do Tomska.

Przykro było nam bardzo rozstawać się z naszymi kochanymi kolegami, z którymi odbyliśmy całą podróż od Petersburga aż do Tobolska. Jednakże, jako zupełnie zdrowi, musieliśmy się z nimi pożegnać i maszerować z samymi moskiewskimi złodziejami, podpalaczami i zbójcami, którzy mogli w każdej chwili okraść nas pięciu Polaków a nawet pozbawić życia, bo dla nich zabić człowieka, to tyle znaczyło, co zabić wiewiórkę lub jakiego ptaszka, jak sami o tym nieraz powiadali.

Niektórzy poczciwi etapni oficerowie, mając wzgląd na to, że pięciu nas tylko politycznych więźniów znajduje się w tak dużej aresztanckiej partii, pomieszczali nas na noclegi i dniówki w żołnierskiej karaulce. Lecz znalazło się wiele takich niegodziwych oficerów, którzy nie zwracali na to uwagi i umyślnie pomieszczali nas na etapach razem ze zbrodniarzami.

Na jednym z etapów oficer Moskal postąpił podobnie z nami nieuczciwie, pomimo naszej prośby, to jest umieścił nas razem z innymi więźniami, mówiąc: „Oni są daleko lepsi i szlachetniejsi od was wszystkich panów »miałtych« Polaków”.

W tej samej partii znajdowało się także kilku aresztantów Polaków, eksrosyjskich żołnierzy, jako to: Tomaszewski, Krasowski, Stanisław Bieńko i wielu innych, którzy zostali zesłani na Syberię do ciężkich robót za różne przestępstwa.

Tomaszewski narzucał się nam ciągle ze swymi usługami. Przynosił nam regularnie rano i wieczór samowar, który pożyczaliśmy od żonatego aresztanta Czerniakowskiego⁴, rodem z grodzieńskiej guberni, i płaciliśmy mu za każde pożyczanie pięć kopiejek. Przynosił nam wodę do umycia, ułatwiał zakup różnych produktów potrzebnych do życia. Wynosił z kazamaty na wóz nasze tłumoczki, spał zawsze obok nas na piecu; słowem mówiąc, Tomaszewski okazywał nam na każdym kroku swą przychylność i życzliwość. Jednakże te wszystkie jego usługi nie wyszły nam na dobre, a szczególnie mnie.

Uważałem, że Tomaszewski przypatrywał się bardzo ciekawie, gdzie chowam na noc mój zegarek. Ja zaś obawiając się, aby aresztanci Moskale nie ukradli mi go w drodze, wkładałem go zwykle na noc do szklanki, obwijając

³ Franciszek Woźniacki skazany na katorgę. Przebywał w Piotrowsku za Bajkałem, potem na osiedleniu, a od lat siedemdziesiątych w Irkucku. Pracował jako lekarz w szpitalu, otoczony uznaniem i szacunkiem. Zmarł w Irkucku.

⁴ Na stronach następnych nazwisko to pojawi się dwukrotnie jako Czerniawski.

małą chustką i tak zapakowanego chowałem do sakwojaża, który służył mi razem za poduszkę pod głowę. Pewnego dnia byliśmy wszyscy pięciu niezmiernie zmęczeni całodzienną podróżą, którą odbywaliśmy po śniegu po same kolana. Napiliśmy się więc wcześniej herbaty, położyliśmy się spać i zasnęliśmy twardo. Obok mnie na wszystkich etapach i pół etapach spał zawsze z jednej strony F. Woźniacki, chirurg, a z drugiej strony Józef Kowalski.

Ponieważ z roku 1863 na 64 zima była ostra i luta w Syberii, podczas której mrozy dochodziły do 30 stopni, a śniegu taka wielka masa upadła, że w niektórych wsiach domy były zupełnie śniegiem zasypane i mieszkańcy niejednokrotnie musieli robić w śnieżnych górach tunele, ażeby wydostać się z chałupy na ulicę. Otóż wskutek tych mrozów Woźniacki wstawał zawsze wcześniej od innych i nastawiał samowar, abyśmy mogli przed podróżą napić się gorącej herbaty, która stanowiła całodzienny nasz posiłek. W tę samą noc, kiedyśmy twardo spali, Woźniacki przebudził mnie ze snu i prosił, abym zobaczył, która godzina, bo zdawało mu się, że jeszcze bardzo wcześnie. Chcąc za dość uczynić prośbie mego kochanego kolegi i przyjaciela, rozespany sięgnąłem ręką pod głowę, lecz niestety ani sakwojaż, ani zegarka tam nie było. Sprawcą tej śmiałej kradzieży był nie kto inny tylko Tomaszewski, który wyciągnął lekko spod mojej głowy sakwojaż, przetrząnął go z boku nożem, wyjął stamtąd zegarek, pieniądze i wszystko, co się w nim zawierało, a tak wypróżniony porzucił go na dziedzińcu pod bryczką.

Tomaszewski, jak dowiedzieliśmy się później, zostawał w zмовie z trzyczestoma sześcioma moskiewskimi aresztantami, nocującymi z nami w jednej kazamacie, że się podzielił między sobą, gdy jemu ta kradzież się uda.

Spostrzegłszy ów śmiały rabunek, udałem się natychmiast do żołnierza stojącego na korytarzu na warcie i opowiedziałem, co się stało, obiecując mu kilkanaście kopiejek na wódkę za szybką pomoc. Żołnierz zachęcony tą obietnicą doniósł zaraz o tym wypadku całej konwojnej starszyźnie. Tomaszewski tymczasem, spodziewając się, że nastąpi niezawodnie rewizja u katorżników, oddał mój zegarek do drugiej kazamaty Tatarowi, który schował go w sam środek swego samowara i nakrył go zimnymi węglami.

Gdy wyświatało, przyszedł do naszej kazamaty etapny oficer z podoficerem i trzema żołnierzami dla odbycia rewizji pomiędzy aresztantami. Żołnierze zachęceni trzema rublami, które obiecałem im dać z własnej kieszeni, jeżeli wynajdą zegarek, zabrali się do ścisłego poszukiwania i znaleźli u jednego z aresztantów moją letnią czapkę, u drugiego kolorową chustkę do nosa, u trzeciego rękawiczki itd., słowem, znalazły się prawie wszystkie moje drobne rzeczy, ale zegarka nie było. Złodzieje tymczasem usprawiedliwiali się przed oficerem, że znalezione u nich przedmioty zostały im w nocy podrzucone.

Po skończonej rewizji zbliżyło się do mnie kilku aresztantów z propozycją odnalezienia mego zegarka, jeżeli im oddam te trzy ruble, które obiecałem dać żołnierzom. Pocieszony tą obietnicą wyjąłem ostatnie trzy ruble, oddałem je w ich obecności aresztantowi Polakowi, niejakiemu Krasowskiemu, mówiąc: „Pamiętaj Krasowski! jeżeli te trzy ruble przepadną, a zegarek nie będzie mi zwrócony, to pieniądze te będą ciążyć na twoim sumieniu!”

Po zawarciu naszej umowy aresztanci objaśnili mnie, że muszę im jeszcze w jednym pomóc, a mianowicie: poprosić oficera o ścisłe przeszukanie

rzeczy tych więźniów, którzy jako chorzy byli w ten dzień wysyłani do szpitala. Oficer zgodził się na to i rewizja była dokonana.

Gdy chorzy odjechali do szpitala, przychodzi do mnie jeden z życzliwych nam aresztantów i powiada: „No, panie ksiądz, wasz zegarek nie pojechał do szpitala, bo go u chorych nie znaleziono, a zatem musiał zostać w etapie i wkrótce się znajdzie”.

Jakoż rzeczywiście, w parę godzin potem starosta sam wręczył mi mój zegarek i opowiedział, że schował go ów Tatar, o którym wyżej wspomniałem, do samowaru; a przyznał się do kradzieży dopiero wtedy, gdy go aresztanci niemiłosiernie obili. Ów niefortunny zegarek, o którym cokolwiek długo się rozpisałem, nie był wielkiej co prawda wartości, ale dla mnie była to drogocenna rzecz jako pamiątka familijna.

Po tej pierwszej nauczce, danej nam przez moskiewskich aresztantów, byliśmy bardzo ostrożni i przezorni. Obchodziliśmy się z nimi grzecznie i delikatnie: lękaliśmy się obrazić ich najmniejszym słowem, czyniliśmy we wszystkim różne ustępstwa, a nawet zajmowaliśmy w kazamacie na noclegach i dniówkach najpośledniejsze miejsca. Dawaliśmy im chętnie to wszystko, co od nas żądali, jak na przykład: tytoń, herbatę, cukier, zapałki itd., i od tego czasu żyliśmy z nimi w zgodzie i najlepszej harmonii. Pomimo to obawialiśmy się, aby ci zbójce katorżnicy nie zamordowali nas gdzie na etapie, jak to uczyniono z pewnym Tatarem, którego aresztanci poprzedniej partii zadusili na korytarzu więziennym w Permie, ograbiwszy ze wszystkich pieniędzy. Potem położyli trupa na gorącym piecu i rozgłosili, że Tatar zagorzał i nagle umarł. Otóż dlatego staraliśmy się zawsze, ażeby oficer pozwalał nam zostawać na etapach w żołnierskiej karaulce.

W wigilię naszego Bożego Narodzenia w miejsce opłatka łamaliśmy się wzajemnie pszeniczną bułką. W samą zaś uroczystość Bożego Narodzenia i w dzień świętego Szczepana męczennika brodziliśmy przez cały dzień w śniegu po kolana, podróżując do następnego etapu, bo regulamin tego wymagał. Każda aresztancka partia musi regularnie maszerować jak zegarek i nie wolno jej zatrzymywać się dwa dni na jednym etapie, chociażby ulewny deszcz padał i biły pioruny, lub żeby mróz był na 40 stopni i szalała zawierucha.

W trzynaście dni po naszych świętach przypadało moskiewskie Boże Narodzenie. Etapni żołnierze, pragnąc pożywać swą „kutię” w kole rodzinnym i przepędzić dwa dni świąteczne na swym etapie, zrobili nam w wigilię swych świąt taką niespodziankę: przyprowadziwszy partię z sąsiedniego półetapu na swój półetap, nie kazali umyślnie stróżowi napalić w piecach i pozwolili nam odpocząć tylko parę godzin, zapowiedzieli, że pójdziemy na całą noc do etapu, a tam za to będziemy odpoczywać przez dwa dni.

Aresztanci Moskale zgodzili się chętnie na taką kombinację, lecz my, Polacy, zmęczeni niezmiernie całodzienną podróżą po głębokim śniegu, pragnęliśmy przenocować nawet na nieopalonym półetapie i odpocząć, zwłaszcza, że tego dnia uszliśmy już trzy mile drogi, a do następnego etapu było znowu tyleż. Nadto noc była ciemna, mróz siarczysty i zerwała się na dworze ogromna śnieżna zadymka, że trudno było człowiekowi oczy otworzyć. Otóż obawiając się, abyśmy wśród nocnej podróży nie zamarzli lub nie zostali gdzie w polu na pastwę zgłodniałych wilków, zamówiliśmy sobie jednego etapnego żołnierza,

który miał swymi końmi zawieść nas pięciu do samego etapu za bardzo przystępną cenę. Następnie ogrzawszy się trochę gorącą herbatę, wyszliśmy na podwórze ze swymi węzłkami w rękach. Jedni aresztanci wsiadali na najęte sanie, drudzy znowu składali swe manatki na przeznaczone do tego furmanki, my zaś oczekiwaliśmy już pewien czas niecierpliwie na zamówione przez nas sanie, lecz ów żołnierz zrobił nam wielki zawód, bo nie przyjechał wcale na pólętap.

Gdy wyjechały już z dziedzińca wszystkie furmanki, sam nie wiedziałem, co mam począć z moim ciężkim sakwojażem, którego nie byłem w stanie nieść przez trzy mile. Szczęściem jakiś nieznamy aresztant, wyjeżdżając na ostatku z podwórza, ujrzał mnie i rzekł po polsku te słowa: „Niech ksiądz da swój sakwojaż na nasze sanie, a ja zawiozę go do etapu i tam oddam księdzu w całości”. Nie namyślając się długo, wręczyłem mu sakwojaż, chociaż nawet jego nieznamomej twarzy nie mogłem dojrzeć, bo było ciemno i szalała już zamieć.

Ta noc zostanie mi w pamięci przez całe życie. Zawierucha była tak silna, że trudno było dojrzeć żołnierzy konwojnych. Obawiając się wpaść w rów lub w zasypy śnieżne po bokach drogi, szliśmy gęsiego szlakiem zostawionym przez poprzedzające nas sanie. Pomimo to, że szedłem wolnym krokiem i dosyć uważnie, upadłem kilka razy nosem w śnieg. Cała noc zesła nam na przebycie tej fatalnej drogi i dopiero o brzasku przybyliśmy na ten przeklęty przez wszystkich aresztantów etap, w którym przepędziliśmy moskiewskie Boże Narodzenie.

Gdy stanęliśmy już na miejscu, pocziwy Woźniacki udał się zaraz na poszukiwanie mego sakwojaża i szczęśliwie dostał go na powrót od usłużnego aresztanta w całości.

Pomiędzy Tobolskiem i Tarą, przy głównym trakcie, leży obszerna i bogata wieś Rybińsk, w której znajduje się szpital dla chorych aresztantów, przechodzących do wschodniej Syberii. We wsi tej zastaliśmy kilku chorych Polaków i pomiędzy nimi dwóch księży: Adama Rycerskiego, reformatora z Radomia i Filipa Markowskiego, bernardyna z miasta Warszawy. Otóż wspomniani księża życzyli mi widzieć i dali mi o tym znać przez szpitalnego posługacza. Dowiedziawszy się o tym udałem się niezwłocznie do nich, tam dowiedziałem się, że obaj są zdrowi, lecz bojąc się silnych mrozów, zapłacili dobrze miejscowemu felczerowi i ten uznał obu za chorych, zatrzymał na kilka tygodni i dawał im nieszkodliwe lekarstwa. Ale to, jak się później dowiedziałem, dla jednego z nich nie wyszło na dobre, ponieważ felczer zważawszy, że ksiądz Rycerski ma kilkadziesiąt rubli, zadał mu takie lekarstwo, że skończył w kilka godzin życie, czyli wyraźniej mówiąc, otrul go, ażeby zabrać pieniądze. Lecz wróćmy do mojej u nich wizyty.

Po przywitaniu się z księżmi i przedstawieniu wzajemnym opowiedzieli mi, że miejscowy etapny oficer i felczer nie chcą dłużej trzymać w szpitalu chorego na umyśle niejakiego Konradzkiego i odeślą go niezawodnie z naszą partią; prosili więc mnie, abym rozciągnął nad nieprzytomnym Konradzkim moją opiekę w podróży, pielęgnował go i nie dozwolił aresztantom zrobić mu żadnej krzywdy. Nadto ci księża wspomnieli, że Konradzki ma przy sobie w gotówce czterdzieści rubli, głowę cukru, piękną webową bieliznę i porządną garderobę.

Tymczasem jeden z chorych aresztantów, leżący w sąsiedniej sali i zapewne rozumiejący cokolwiek po polsku, podstuchiwał pod drzwiami naszą roz-

nowę i doniósł zaraz aresztantom mojej partii, że chorzy księża dali mi czterdzieści rubli na drogę.

Gdy powróciłem do moich towarzyszy, dowiedziałem się na samym wstępie, że Konradzkiego w czasie mojej nieobecności przyprowadzono do naszego etapu i że zaraz już okradziono go z cukru, walizy i innych jeszcze przedmiotów. Woźniacki radził, abyśmy wezwali niezwłocznie starostę i naciśnęli go, żeby aresztanci zwrócili skradzione rzeczy Konradzkiemu. Będąc przekonany, że z trzystu moskiewskimi zbójami będzie trudna sprawa i że możemy przez upomnienie się o skradzione rzeczy narazić się tym łotrom, nie zgodziłem się na użycie tego środka i radziłem Woźniackiemu, aby zaniechał swego projektu. Lecz Woźniacki nie usłuchał mnie i wezwawszy starostę, oświadczył mu w obecności katorżników, że gdy aresztanci nie oddadzą dobrowolnie skradzionych przedmiotów, to on pójdzie nazajutrz do etapnego oficera i zaskarży ich wszystkich. Starosta wysłuchawszy przemowy, uśmiechnął się ironicznie i odparł, że nie wie o żadnej kradzieży.

Zwykle wieczorem pożyczaliśmy samowar od żonatego aresztanta Czerniawskiego⁵ i przyrządzaliśmy sobie herbatę. Kiedy zrobiono już wieczorną prowierkę i zamknięto się od etapu, a konwojni żołnierze udali się do swej karaułki, wtedy aresztanci posiadali na podłodze, zapalili świece i poczęli grać w karty. My zaś, Polacy, umieszczeni na narach przy drzwiach wchodowych, popijaliśmy herbatę. W czasie tego Woźniacki wyszedł po coś na korytarz i podслуchał przypadkiem, jak sam starosta namawiał kilku zbójów, aby ci napadli w nocy i odebrali nam czterdzieści rubli, które według mylnego doniesienia chorego aresztanta, miałem otrzymać od księży w Rybińskim szpitalu.

Woźniacki, powróciwszy do kazamaty, ostrzegł nas, abyśmy mieli się na baczności, bo aresztanci myślą w nocy na nas napad urządzić. Nie poczuwając się do żadnej winy względem aresztantów, roześmiałem się z mowy Woźniackiego i byłem zupełnie spokojny, a nie pomyślałem wcale o tym, że te łotry i zbóje mogą nas w każdej chwili nie tylko okraść, ale i zamordować.

Ponieważ aresztanci nie byli pewni i nie wiedzieli, kto ma właściwie te nieszczęśliwe czterdzieści rubli, więc na poczekaniu zrobili małą próbę, a to w ten sposób: przystali do nas jakiegoś nieznanego aresztanta, który prosił mnie bardzo pokornie i grzecznie, abym mu rozmienił pięciorublowy banknot na drobniejsze pieniądze, lecz ja mu odparłem, że nie posiadam tyle pieniędzy i dodałem: *Wszak sami wiecie dobrze, że żyję tylko z tych sześciu kopiejek, które nam rząd wypłaca. Gdybym miał więcej pieniędzy, to nie szedłbym z wami pieszo, ale nająłbym konie*".

W pół godziny potem przybył inny „posieleniec” i zwrócił się znowu z prośbą wymiany trzech rubli, lecz już nie do mnie, ale do Woźniackiego. Woźniacki w podobny sposób pozbył się natręta.

Gdy kończyliśmy już pić herbatę, aresztanci „posielańcy” poczęli nieznacznie wchodzić do naszej kazamaty, to po jednym, to po dwóch zbliżali się do katorżników siedzących na ziemi i przypatrywali Sike ich grze w karty.

⁵ W egzemplarzu „lubelskim” pamiętników (Biblioteka Łopacińskiego) poprawiono (nie ręką Matrasia) to nazwisko na Czerniakowski; w takiej formie występuje na wcześniejszych stronach. Trudno ostatecznie rozstrzygnąć, czy ma być Czerniakowski czy Czerniawski.

Tymczasem Czerniawski zabrał swój samowar, a ja chciałem schować szklankę do sakwojażu i odwróciłem się twarzą ku ścianie, gdy nagle wszystkie światła w naszej kazamacie pogasły, przy tym jeden ze spiskowców z zasłoniętą twarzą skoczył w środek naszego kółka i zgasił nam świecę. Wtedy aresztanci rzucili się na nas sześciu Polaków i zaczęli nas mordować, czyli właściwie mówiąc, dusić, schwyciwszy nas za gardła.

Woźniacki miał tyle jeszcze przytomności, że zerwał sobie z nóg dziesięciofuntowe kajdany i oparłszy się plecami o ścianę, wywijał nimi na wszystkie strony, wołając na cały głos o ratunek. Tymczasem jakiś drab ściągnął mnie z pryczy z tyłu na podłogę i ścisnął mnie tak silnie za gardło, że niewiele należało mi się do oddania ducha Bogu. Jednakże, ile tylko sił mi starczyło, broniłem się do ostatniej chwili i nie pozwoliłem napastnikom obalić mnie na podłogę. Pocziwy zaś nasz Woźniacki, który ocalił nasze życie, nie przestawał ani na chwilę wzywać żołnierzy na ratunek, a tym bardziej jeszcze dobywał głosu, gdy towarzysz nasz Kowalski przycichł zupełnie, ponieważ sądził, że Kowalskiego już uduszono.

Na nasze szczęście aresztanci gasząc świece, zamiast sobie, nam pomogli, bo się pomieszały w bójkę i poczęły także pomiędzy sobą zażarcie się okładać. Spiskowcy obawiając się, aby który z nas podczas tej morderczej walki nie uszedł z kazamaty na korytarz i nie rozbudził straży, byli i na to przygotowani, ponieważ postawili przy drzwiach kilku ludzi, aby żaden Polak się nie wymknął. Kowalski, wyrwawszy się z rąk aresztantów, wlaź pod pryczę i leżał tam spokojnie udając martwego, aresztanci zaś, nie słysząc wcale głosu Kowalskiego, byli pewni, że zabili go, dlatego też rzucili się ku drzwiom i wołali na swych towarzyszy stojących na korytarzu i podpierających sobą drzwi od naszej kazamaty: „Otwierajcie nam prędzej drzwi, bo zabiliśmy jednego Polaka”.

Kiedy napastnicy wychodzili śpiesznie z naszej kazamaty, zerwałem się z podłogi i wybiegłem razem z nimi na korytarz, ale do tego stopnia straciłem przytomność, że zamiast biec do tych drzwi, które prowadziły do żołnierskiej karaułki, pobiegłem do drzwi wychodzących na ulicę i uderzałem w nie z całej siły, wołając o pomoc. Wtedy kilku łotrów przyskoczyło do mnie, zdarli ze mnie rządowy krótki kozuch, schwycili za włosy i bili kułakami po głowie, piersiach i plecach, wołając: „Nie krzycz, bo cię tu na miejscu ubijemy!” Żołnierz stojący na warcie przy głównej bramie, usłyszawszy mój krzyk, wpadł do karaułki, zbudził żołnierzy i oficera i przybył razem z nimi do głównych drzwi etapu.

Aresztanci. Usłyszawszy głośną rozmowę zbliżających się do drzwi żołnierzy, czym prędzej rozbiegli się po swych kazamatach, zapalili kilka świec i zaczęli znowu grać w karty, jakby się nic ważnego nie stało w etapie. Gdy zaś żołnierze otworzyli drzwi, byłem już tak osłabiony, że upadłem na próg. Oficer spostrzegłszy, że cały rękaw mojej koszuli zbroczony we krwi, przeląkł się ogromnie i zapytał, co to ma znaczyć i co było powodem napadu aresztantów. Odpowiedziałem mu na to z największą pogardą: „Dowiesz się pan później o tym wszystkim, jak zaskarżymy cię przed tomskim gubernatorem”.

Zmieszany oficer zaczął przeproszać mnie i usprawiedliwiać się, że nie wiedział wcale, iż w tej aresztanckiej partii znajdują się polityczni więźniowie Polacy, a to by nas umieścił osobno w karaułce. Potem kazał dwom żołnierzom wziąć mnie pod ręce i zaprowadzić do żołnierskiej izby, sam zaś z innymi żołnierzami przyprował tamże i moich pięciu towarzyszy.

Następnie oficer, chcąc załagodzić jakoś tę sprawę, kazał żołnierzom nastawić prędko samowar i napoić nas herbatą. Jeden z moich towarzyszy, niejaki Grzybowski, przeląkł się podczas tej walki do tego stopnia, że trząsał się cały jakby w febrze i chociaż wypił aż czternaście szklanek gorącej herbaty, jednakże nie mógł nią w żaden sposób się rozgrzać.

W całej tej morderczej walce dwóch nas Polaków, to jest Kowalski i ja, otrzymaliśmy najwięcej plag od moskiewskich aresztantów. Te draby przegryzły mi zębami mały palec u lewej ręki, a Kowalskiemu wyrwały pazurami kawał ciała na twarzy.

Woźniacki, jako chirurg, opatrzył wraz nasze rany, lecz pomimo to byliśmy jeszcze tak potłuczeni i osłabieni, że nie mogliśmy nawet myśleć o pieszym odbywaniu dalszej drogi. Dlatego też prosiliśmy etapnego oficera, aby odesłał nasz sześciu na odpoczynek i kurację do miejscowego szpitala, lecz oficer, przygotowawszy wcześniej potrzebne papiery, usprawiedliwiał się przed nami, że nie może tego uczynić w żaden sposób, bo musiałby na nowo przepisywać wykaz całej aresztanckiej partii i nie zdążyłby go na czas wykończyć. Jednakże pragnąc załagodzić nas na miejscu, obiecał dać nam Polakom furmanki do samego miasta Tary i dla naszego bezpieczeństwa dodał nam specjalnie sześciu żołnierzy, którzy zawieźli nas do wyżej wspomnianego miasta.

Nazajutrz rano, kiedy aresztancka partia miała wyruszyć w dalszą podróż, oficer rozkazał zakuć wszystkich bez wyjątku aresztantów w podwójne kajdany, to jest tym, co byli zakuci na nogi, dodać im kajdany na ręce i na odwrót, ci zaś, którzy nie mieli wcale kajdan, zostali przykuci za jedną rękę po sześciu do jednego łańcucha. Żołnierze spodziewając się wielkiego oporu ze strony aresztantów, którzy są gotowi w takim razie bić się do ostatniego, zapalili w swej karaulce kilka wojskowych świeczek przed obrazami, pomodlili się chwilkę czasu, a potem włożywszy do karabinów ostre ładunki i nadziawszy bagnety, udali się do kazamat dla wykonania rozkazu oficera.

Nareszcie, gdy przyszło do nakładania nadedatowych kajdan, aresztanci poczęli stawiać silny opór, lecz żołnierze wzięli się na sposób, a mianowicie chwytali pojedynczo aresztantów, wyprowadzali na dziedziniec i zakuwali w kajdany. Aresztanci tymczasem, rozumiejąc dobrze, że my jesteśmy przyczyną tej dla nich kary, przy wyjściu w drogę wykrzykiwali, odgrażając się: „Chyba nie będziemy żyć na tym świecie, jeżeli nie pozrywamy głów tym sześciu miatieżnikom!”

We dwie godziny po wyjściu partii z etapu wyjechaliśmy z sześciu żołnierzami w dalszą podróż. Ponieważ tego dnia był bardzo wielki mróz, żołnierze chcieli jak najprędzej zawieść nas do następnego pólétapu i dlatego proponowali nam wyminąć partię. Otóż w tym czasie, gdy przepędzaliśmy aresztantów, jeden zuchwały zbój porwał się na nas, ale żołnierz siedzący z nami na saniach uderzył go tak silnie karabinem w piersi, że aresztant upadł na ziemię, a my popędziliśmy galopem do pólétapu.

Od wyjazdu ze wsi Rybińska do miasta Tary odbywaliśmy naszą podróż w następującym porządku: jechaliśmy zawsze poprzedzając kilka wiorst naszą partię, nocowaliśmy i odprawialiśmy dniówki na etapach w żołnierskich izbach i mieliśmy kilku specjalnych żołnierzy, którzy nas strzegli i nie pozwalali zbliżyć się żadnemu aresztantowi.

Gdy przybyliśmy do Tary, zastaliśmy tam etapnego oficera, niejakiego Zarzyckiego, który był Polakiem i bardzo dobrze z nami się obchodził. Dowie-

dziawszy się od konwojnego podoficera o napadzie i pobiciu nas przez aresztantów, Zarzycki zaszedł do nas, rozpytał szczegółowo o owym zajściu i obiecał nam, że winowajcy tego napadu będą surowo ukarani.

Wkrótce potem zjawił się w etapie horodniczy (burmistrz), który wizytował przybyłych aresztantów i zapytywał, czy nie mają jakich pretensji do oficera i żołnierzy etapnych i czy otrzymują swój żołd regularnie. W końcu zaszedł z Zarzyckim do naszej izby, aby usłyszeć na własne uszy naszą skargę na niegodziwy napad aresztantów.

Gdy opowiedzieliśmy mu wszystko i pokazaliśmy nasze rany, horodniczy zawezwwał miejscowego lekarza, który obejrzawszy moją rękę i twarz Kowalskiego, potwierdził, że pierwsza została zadana zębami, a druga paznokciami. Po takim świadectwie doktor a Moskala horodniczy przywołał starostę naszej partii i zapytał go ostro: „Powiedz, kto to zarządził napad na sześciu Polaków w Rybińsku i kto ich poranił?” Starosta odrzekł, że nie wie, kto brał udział w napadzie, ponieważ stało się to wśród ciemnej nocy. Wtedy odezwał się Woźniacki: „Panie horodniczy, proszę nie wierzyć staroście, bo kłamie. Wie on dobrze, którzy aresztanci bili nas w Rybińsku, bo słyszałem na własne uszy, jak sam starosta namawiał kilku aresztantów posieleńców, aby napaść na nas w nocy i zrabować pieniądze”.

Horodniczy wtedy rozkazał odliczyć dwieście różeg na skórze starosty, co też natychmiast wykonano, i zdegradował go z urzędu starosty, a nas sześciu politycznych więźniów Polaków kazał zaprowadzić do miejscowego szpitala na kurację i zatrzymać w nim aż do następnej aresztanckiej partii, która miała za tydzień przyjść do Tary.

W czasie naszego pobytu w Tarze widzieliśmy szczególnych strażników więziennych, a mianowicie: pan Zarzycki chcąc uwolnić swoich etapnych żołnierzy od nocnego czuwania nad aresztantami, utrzymywał swym kosztem w etapnym dziedzińcu dwa młode dwuletnie niedźwiedzie, które na noc spuszczał z łańcucha i pozwalał im biegać po całym więziennym dziedzińcu. Więźniowie, wiedząc o takowych stróżach, lękali się nosa wytknąć za drzwi, a tym bardziej myśleć o przedostaniu się przez duży dziedziniec dla dokonania ucieczki. Żołnierze zaś tymczasem spali całą noc spokojnie.

Wśród kryminalistów i politycznych. Pomędzy Tarą a Irkuckiem

Następna aresztancka partia, do której przyłączono nas w Tarze, składała się z dwustu osób. W tej partii znajdowało się trzydziestu sześciu politycznych więźniów Polaków, a mianowicie: ksiądz Onufry Syrwid, dziekan z wileńskiej diecezji; ksiądz Józef Tuszewski, wikariusz z sandomierskiej diecezji; ks. Stanisław Korecki, reformat z Wielunia⁶; Ludwik Zaręba⁷, kasjer z miasta Końskie; Zabawski, nauczyciel elementarnej szkoły z miasta Ćmielowa; Stanisław Kater-

⁶ O trzech wyżej wymienionych księżach zob. aneksy; reformatę z Wielunia wymienił tu autor jako Kareckiego, na następnych stronach jako Koreckiego, co jest właściwą formą tego nazwiska.

⁷ Ludwik Zaręba, według spisów zesłanych, przechowywanych w AGAD w Warszawie, kasjer magistratu w Końskich, lat 34, skazany na osiedlenie za udział w powstaniu.

la⁸, poczmistrz z Wolbromia; Stanisław Wielobycki z Sandomierskiego, Jan Glewicz, farmaceuta z Kijowa; Twardzicki, zawiadowca stacji na kolei żelaznej; Korycki, Śliwiński, Rychter, Siwiński z Warszawy; Czapko z Brześcia Litewskiego; staruszek Bełza, leśniczy spod Lwowa; Zabielski z Królestwa Polskiego; Roziecki, strażak ogniowy z Warszawy; Stefan Jankowski z kowieńskiej guberni; Gajewski, Rogoziński, Puza, Zegarkowski – z Galicji; kapitan Draszkowicz i Paweł Naprawski z Węgier; Józef Pacewicz, Zabłocki, Cytowicz – z Dyneburga i wielu jeszcze innych Polaków, których nazwisk nie przypominam sobie⁹.

Nasi nowi towarzysze podróży wiedzieli już o tej całej awanturze, jaką zrobili z nami moskiewscy aresztanci poprzedniej partii, dlatego też przedsięwzięli różne środki ostrożności i nie dowierzali kryminalistom.

Nasamprzód każdy więzień polityczny zaopatrył się w ostry nóż; po wtore: wszyscy razem lokowali się w jednej kazamacie na noclegach i dniówkach; po trzecie: uradzono, aby zawsze przez całą noc paliła się świeca w naszej kazamacie; po czwarte: ażeby jeden z kolegów, na którego kolej przypadnie, chodził przez godzinę z kijem w rękę po kazamacie i czuwał nad śpiącymi kolegami, a w razie niebezpieczeństwa, żeby budził wszystkich. Żaden z nas nie mógł się wymówić od tego obowiązku, ale musiał sumiennie go spełniać. Jeżeli któryś z towarzyszy nie chciał poddać się temu prawu, w takim razie wyłączano go z naszego kółka i nie pozwalano mu nocować w jednej kazamacie z Polakami. Zwykle poważniejsi i starsi wiekiem koledzy robili na dniówkach rozkład nocnej straży na całe trzy dni. Tak dziwnie jakoś składały się okoliczności, że kolejka nocnego czuwania przypadała na mnie zawsze po północy, od dwunastej do pierwszej lub też od pierwszej do drugiej godziny. Jednakże przyzwyczailem się do tego porządku i ten nie robił mi wcale podczas snu żadnej różnicy.

Porządek codzienny w naszej partii był następujący. Rano, gdy wszyscy koledzy wstali z pryczy, umywali się zimną wodą na dworze, nawet w największe mrozy, bo etapni oficerowie nie pozwalali myć się w izbie. Nieraz zdarzyło się, umywając się wśród zimy, zamarzała woda nam na głowie i robił się z niej gruby lód na włosach. Niektórzy koledzy, obawiając się zimową porą myć się na dworze, nie umywali się wcale po kilka dni. Potem każdy odmówił sobie po cichu zwykły pacierz, następnie wszyscy razem odśpiewali pieśń „Kiedy ranne wstają zorze” i „Boże coś Polskę” i następnie zabierali się do przyrządzania sobie śniadania, które zwykle składało się z dwóch szklanek czystej herbaty i kawałka żytniego lub pszennego chleba. Zaraz po śniadaniu wyruszailiśmy zwykle w dalszą drogę. Podczas lata zaś trudno było i takie śniadanie przygotować, ponieważ dla wielkich upałów wychodziliśmy zwykle z etapów o godzinie drugiej lub trzeciej, ażeby uniknąć południowego upału w drodze.

Niektórzy aresztanci z poprzedniej naszej partii, chcąc się zemścić na nas za ukaranego różgami w Tarze swego starosty, udawali chorych i pozostawali w szpitalach po drodze, a następnie przyłączali się do naszej partii, aby tym

⁸ Według tychże spisów z AGAD, Stanisław Katerla był szlachcicem, lat 30, skazanym przez sąd wojenny w Kielcach na 10 lat katorgi za udział w powstaniu.

⁹ W akapicie tym w druku z 1894 r. było: Zarembo zamiast Zaręba, Chmielów zamiast Ćmielów, Olbrum zamiast Wolbrom, Rowoziński zamiast Rogoziński. Poprawki według naszych ustaleń i zapisków Matrasia na „lubelskim” egzemplarzu pamiętników

sposobem znaleźć się razem z nami i plan napadu nowego wykonać. Lecz zamiary tych zbójów nie osiągnęły żadnego skutku, bo jak powiedziałem wyżej, byliśmy ostrożniejsi i w wielkiej liczbie, bo było nas wszystkich politycznych więźniów Polaków czterdziestu jeden, a w tej liczbie pięciu przyłączonych w Tarze; szóstego zaś, Konradzkiego zatrzymano tamże na dłuższy czas w miejscowym szpitalu.

Na całej przestrzeni pomiędzy miastami Tarą i Tomskiem wybudowane są takie małe i ciasne etapy, że nasza partia nie mogła się w nich w żaden sposób pomieścić. Wskutek tego Polaków lokowano zwykle w żołnierskich izbach. Tym sposobem doszliśmy szczęśliwie do Tomska.

W tomskim więzieniu, gdzie nas ulokowano, zastaliśmy kilkudziesięciu Polaków, po większej części skazanych do ciężkich robót w Syberii, którzy nie wiadomo z jakiej przyczyny zostali tam na dłuższy czas zatrzymani. W tej liczbie znajdowało się pięciu księży, a mianowicie: Augustyn Krużmanowski, proboszcz z płockiej diecezji; Fryderyk Włocki, wikariusz z sandomierskiej diecezji; Stanisław Pomirski, wikariusz i Ambroży Grzymała, reformat z płockiej diecezji; Firmin Mędrkiewicz, bernardyn i dwóch Francuzów.

Na drugi dzień po naszym przybyciu do Tomska, jakiś urzędnik wezwał mnie do kancelarii nadzorcy więzienia i doręczył mi list od mojej matki i w nim trzydzieści rubli. Ucieszony niezmiernie tą miłą, podwójną niespodzianką, która spotkała mnie z łaski mojej matki, postanowiłem oddzielić się od aresztanckiej partii i wyrobić sobie pozwolenie u gubernatora, abym mógł jechać, na swój koszt, z jednym żołnierzem konwojnym do miasta Krasnojarska. Ponieważ znalazło się w tomskim więzieniu więcej kandydatów Polaków do jazdy na swój koszt, więc pięciu nas, to jest: Zaręba, Wielobycki, Glewicz, Zabawski i ja, umówiliśmy się pomiędzy sobą, wyrobiliśmy z łatwością pozwolenie u gubernatora i po trzech dniach wyjechaliśmy włościańskimi furmankami, z jednym tylko konwojnym żołnierzem, do Krasnojarska.

Podróż do Krasnojarska, która zajęła nam dwa tygodnie czasu, odbywaliśmy z największą swobodą. Nie zajeżdżaliśmy wcale do etapów na noclegi, ale nocowaliśmy zwykle w chatach u włościan.

Gdy przybyliśmy do Krasnojarska, konwojny żołnierz zawiózł nas prosto do głównego miejscowego więzienia, w którym spotkaliśmy także wielu więźniów Polaków i w tej liczbie trzech księży: Ferdynanda Stulgińskiego, dziekana ze żmudzkiej diecezji; Walentego Manelskiego, proboszcza z płockiej diecezji i Celestyna Godlewskiego, proboszcza z podlaskiej diecezji. Bawiłem tam blisko dwa tygodnie i dowiedziałem się od kolegów, że gubernator krasnojarski nie pozwala politycznym więźniom Polakom jechać do Irkucka z konwojnym żołnierzem, ale z żandarmem, na którego utrzymanie i kosztą podróży każdy więzień musi złożyć po piętnaście rubli, które to pieniądze, rozumie się, szły do kieszeni pana gubernatora.

Dowiedziawszy się o takim rozporządzeniu, rozpacz ogarnęła nas wszystkich i zdecydowaliśmy się znowu dalej maszerować pieszo po etapach z aresztancką partią, gdyż pieniądze, jakie posiadaliśmy, nie wystarczyły na zapłacenie podróży żandarma.

Ksiądz Godlewski, widząc moje krytyczne położenie, pożyczył u bogatego księdza Stulgińskiego, dla mnie na jakiś czas jedenaście rubli, których mnie brakowało, i w ten sposób mogłem dalej odbywać podróż furmanką.

Zebrało się tedy nas sześciu i po wzajemnym porozumieniu się i otrzymaniu gubernatorskiego pozwolenia, wyruszyliśmy na czterech parokonnnych furmankach do miasta Irkucka. Mieliśmy konwojnego żandarma bardzo poczciwego człowieka, ale za to upijał się prawie co dzień i spał na swym wozie. Musieliśmy go pilnować na każdym kroku, obawiając się, aby nie zgubił gdzie swego rewolweru, pałasza i naszych papierów, które miał przy sobie, złożone w skórzanej torbie.

Pomiędzy Krasnojarskiem i Irkuckiem trafiliśmy na jakąś wielką i bogatą wieś, w której ani jeden Sybirak gospodarz nie chciał nas przyjąć na nocleg do swego domu. Gdybyśmy nie spotkali dwóch politycznych więźniów Polaków, Jana Zarębę, obywatela spod Warszawy i Schmidta z Warszawy, zesłanych do tej niegościnniej wsi na osiedlenie, którzy przyjęli nas chętnie do swego ubożego pomieszkania, to bylibyśmy zmuszeni jechać na całą noc do następnej wsi odległej o trzy mile drogi. Zaręba opowiadał nam ze łzą w swem oku, że rząd rosyjski skonfiskował mu cały majątek na rzecz skarbu i wypędził z tego majątku żonę jego i kilkoro dzieci. Z tego powodu jest zmuszony teraz razem ze swym kolegą chodzić co dzień do lasu, nawet w największe mrozy, aby zarobić na swe utrzymanie, rąbiąc i sprzedając drzewo. W przeciwnym bowiem razie obydwaj musieliby umierać głodową śmiercią, gdyż Moskale nie dają im ani jednej kopiejki na utrzymanie.

Tysiąc przeszło wiorst drogi z Krasnojarska do Irkucka przejechaliśmy w przeciągu dwóch tygodni szczęśliwie i bez żadnego większego wypadku lub nieprzyjemności. Na tej całej przestrzeni spotykaliśmy codziennie kilku moskiewskich skazańców, tak zwanych „brodiąg”, którzy uciekali z Syberii z różnych karnych zakładów i dążyli do swej „matuszki” Rosji.

Brodiagi, widząc obok nas uzbrojonego żandarma, nie zaczepiali nas wcale, tylko prosili czasami, aby dać im trochę tytoniu, zapalek lub kilka kopiejek. Ale niechby tym ptaszkom nawinał się na drodze jaki bogaty moskiewski kupiec lub podróżny, to zamordowaliby go zaraz i ograbili z ostatniej koszuli.

Chcąc się nieraz dowiedzieć, z jakiego karnego zakładu uciekli „brodiagi”, prosiliśmy konwojnego żandarma, aby zapytywał ich o to. Żandarm czynił to chętnie i pytał ich zawsze w ten sposób:

„Ej! Rebiata, odkuda Boh was Niesiot?” (Dzieci! Skąd Bóg prowadzi?)

„Iż nerczyńskich zawodow otprawlajemsia na rodinu” (Z nerczyńskich zakładów, dążymy do rodzinnego kraju) – była najczęściej odpowiedź.

Wtedy żandarm zwykle dodawał:

„Nu, s Bohom, putiem doroha!” lub też: „Żelaju wam wsiakoho błahopuczia!” (Życzę wam szczęśliwej drogi i wszelkiej pomyślności).

Brodiagi odbywali podróż do Rosji głównym traktem po kilku razem. Gdzie zaś groziło im jakie niebezpieczeństwo ze strony sybirskiej ludności lub rosyjskich urzędników, omijali z daleka taką wieś i przedzierali się przez nie zaludnione miejsca, góry, bory i lasy, a potem powracali znowu do głównego traktu.

Każdy taki zbieg był ubrany w chłopską starą sukmanę, twarz miał zamurzaną i zasmoloną, a na plecach u niego wisiła torba płócienna i blaszany kociołek do gotowania herbaty. Nocowali latem w gęstych krzakach lub lasach, w zimie zaś wciskali się na noclegi do etapów i półetapów. Etapni żołnierze nie wzbraniali tego, ale owszem przyjmowali ich chętnie, bo grali z nimi po całych nocach w karty i pili wódkę, dostarczaną za pieniądze zbiegów.

Chociaż wszyscy etapni oficerowie i żołnierze wiedzieli dobrze o tym, że sybirscy brodiagi są to moskiewscy karni przestępcy, uciekający z katorgi lub osiedlenia, jednakże nie było takiego wypadku, aby którego z nich pojмали i oddali w ręce właściwej władzy. Dlatego też liczba zbiegów corocznie się powiększała i wtenczas już dochodziła do tysiąca osób. Jeżeli przytrzymano gdziekolwiek takiego zbiega i wydano w ręce władzy, to ów brodiaga nigdy nie przyznał się z jakiego uciekł miejsca i nie wyjawiał właściwego swego nazwiska i imienia, tylko mówił zwykle, że nie pamięta, jak się nazywa. Tacy zostali nazwani przez rząd rosyjski „niepomniaszczymi” lub „nieznajkami”, to jest nie pamiętający lub nie wiedzący. A że przy powrotnym wysyłaniu ich do Syberii znalazło się w jednej partii kilku niepomniaszczących, więc dla rozróżnienia dawano im do tej nazwy numer pierwszy, drugi itd.

Ale biada była tej wsi, w której chłopcy sybirscy pojмали i oddali władzom zbiega, bo brodiagi, dowiedziawszy się o tem, podkradali się w nocy do owej wsi i podpalali ją naraz w kilku miejscach. Kiedy pożar wybuchł i mieszkańcy zajęci byli gaszeniem płomieni, brodiagi wpadali do nie objętych ogniem budynków i grabili wszystko, co im wpadło do rąk. Nieraz nawet wyprowadzali piękne i drogie konie, a ujechawszy na nich kilka mil drogi, porzucali je w lesie.

Zbliżając się do Irkucka, jako do głównej rezydencji generał-gubernatora wschodniej Syberii, nasz pocziwy żandarm oczyścił się i ogarnął, jak mógł i umiał, a następnie przybywszy do miasta, zawiózł nas wprost do policji, stąd po załatwieniu pewnych formalności odesłano nas do głównego więzienia, położonego na przedmieściu za małą rzeką Uszakówką.

W Irkuckim więzieniu zastaliśmy tylko czterech politycznych więźniów, jako to: diakona Adriana Nowickiego, bernardyna z Wilna; pana Krzyżanowskiego z Warszawy; Wojciecha Szeкулę i Lewandowskiego z okolic miasta Chełma¹⁰. Trzej z nich byli skazani na osiedlenie we wschodniej Syberii, Krzyżanowski zaś na dwuletnie zamknięcie w irkuckim więzieniu, a po odcierpieniu tej kary miał być także wysłany na osiedlenie w tejsze samej guberni.

Ponieważ towarzysze, z którymi przyjechałem do Irkucka, byli skazani do ciężkich robót we wschodniej Syberii, więc wskutek takiego wyroku odesłano ich po kilku dniach do karnego zakładu w osadzie Usole, ja zaś, jako nie należący do tej kategorii, zostałem tymczasowo w miejscowym więzieniu.

W tomskim więzieniu spotkałem chorego księdza Augustyna Krużmanowskiego, proboszcza z płockiej diecezji, któremu pożyczyłem kilka rubli na zapłacenie furmanki do Krasnojarska. Ta właśnie okoliczność była głównym powodem, że zabrakło mi pieniędzy na opłatę podróży żandarma i dlatego zmuszony byłem, jak o tym wyżej wspomniałem, zaciągnąć pożyczkę jedenastu rubli u księdza Stulgińskiego.

Gdy ksiądz Stulgiński miał wyjeżdżać z Irkucka do karnego zakładu w Usoli, wezwał mnie do swojej kazamaty i kazał bezzwłocznie zwrócić pożyczone jedenaście rubli. Nie mając przy duszy ani jednej kopiejki prócz srebrnego kieszonkowego zegarka, czterech nowych webowych koszul i srebrnej stołowej łyżki, prosiłem księdza Stulgińskiego, aby poczekał na zaciągnięty przeze

¹⁰ Szeкулę i Lewandowski zesłani byli za tzw. Chełmską sprawę, o czym wyżej już wspomniano.

mnie dług, chociaż kilka tygodni i dałem mu kapłańskie słowo, że jak tylko otrzymam z kraju od mojej matki pieniądze, to odeślę mu pieniądze bezzwłocznie pocztą do Usoli. Ksiądz Stulgiński nie zgodził się na moją propozycję i nalegał, abym oddał mu natychmiast owe jedenaście rubli.

Oburzony do najwyższego stopnia na taką nieludzkość i nieszlachetność katolickiego kapłana Żmudzina, wyjąłem z kieszeni mój zegarek, który kosztował w rodzinnym kraju razem z łańcuszkiem siedemnaście rubli i zapytałem księdza Stulgińskiego, w jakiej cenie przyjmuje mój zegarek? On mi odpowiedział, że mój zegarek nie jest więcej wart jak osiem rubli. Położyłem mu zegarek na stole i wziął go w tej cenie bez żadnego skrupułu. Po chwili wybiegłem z kazamaty, sprzedałem aresztantom jedną koszulę za dwa ruble, a srebrną łyżkę za rubla i zaniósłem mu te trzy ruble dla wyrównania całego długu, gdyż i na tę małą kwotę nie chciał dłużej czekać.

Wszyscy polityczni więźniowie, dowiedziawszy się o takim nieszlachetnym postępku Stulgińskiego, zgorszyli się i oburzyli, i opowiadali wszystkim, że jeden ksiądz obdarł drugiego z ostatniej koszuli.

Każdego tygodnia przybywała z Rosji do Irkucka świeża aresztancka partia, która składała się najmniej z dwustu osób. W każdej zaś partii znajdowało się kilku lub kilkunastu politycznych więźniów Polaków. Tych Polaków, którzy zostali przez moskiewski rząd skazani do ciężkich robót we wschodniej Syberii, zakuwano w Irkucku w dziesięciofuntowe kajdany na obie nogi i wysyłano niezwłocznie do różnych karnych zakładów, a mianowicie do Usoli, Aleksandrowska, Uskuty, Siewakowa, Pusolska, Piotrowska, Darasunia, Nerczyńska, Kadai i Akatui¹¹, a nawet wysłano stu Polaków do rąbania i czyszczenia lasu około miasta Kireńska, oblanego z dwóch stron wodami rzeki Leny, a z drugich dwóch stron wodami rzeki Kiryngi. Polaków zaś skazanych na osiedlenie we wschodniej Syberii zatrzymywano w więzieniu irkuckim i więziono ich, bez żadnej przyczyny, po kilka tygodni a nawet i po kilka miesięcy, i płacono im po trzy i pół kopiejki dziennego żołąd lub też dawano te same śmierdzące potrawy, jakimi karmiono wszystkich karnych więźniów. I tak na przykład: diakon Adrian Nowicki, bernaryn, siedział w owym więzieniu przez cztery miesiące; Lewandowski i Szekula trzy miesiące; autor niniejszego opowiadania dziewięć tygodni. Inni zaś koledzy, a mianowicie: ksiądz Augustyn Krużmanowski, hrabia Leopold Walicki, właściciel fabrycznego miasteczka Jeziora i kilku wsi w grodzieńskiej guberni, dwaj rodzeni bracia Mikołaj i Paweł Żylińscy¹², obywateli z Królestwa Polskiego; Seweryn Roszkowski, eksrosyjski oficer z pułku złotych ułanów, rodem z Podlasia; Józef Marcinkiewicz, student ze Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie; Racinowski, eks-rosyjski oficer; Jan Teller (właściwe nazwisko Kwieciński), eks-rosyjski junkier; Szczucki i wielu innych kolegów, których nie przypominam sobie z nazwiska, zatrzymani byli w więzieniu przez kilka tygodni.

Wspomniałem wyżej nazwisko hrabiego Walickiego. Otóż poczuwam się teraz do obowiązku uczynić cokolwiek obszerniejsze wspomnienie o tym czci-

¹¹ Główne miejsce katorgi w okolicach Irkucka i za Bajkałem.

¹² Mikołaj Żyliński, szlachcic z Zagoździa w pow. warszawskim, wzięty do niewoli 20 kwietnia 1863 r. podczas bitwy pod Jedlnią w Radomskim, skazany na osiedlenie.

godnym, zacnym, prawdziwym polskim patriocie, który był kochany i poważany przez wszystkich Polaków wygnańców.

W roku 1863 rząd rosyjski skonfiskował na rzecz skarbu cały majątek hrabiego Leopolda Walickiego za jakieś małe przestępstwo polityczne, zesłał go do wschodniej Syberii na osiedlenie w osadzie Wiercholeńsk, irkuckiej guberni i płacił mu każdego miesiąca po sześć rubli srebrem na utrzymanie.

Po upływie niespełna dwóch lat, przejeżdżając przez osadę Wiercholeńsk do wsi Tunki, odwiedziłem po drodze znajomego mi z Irkucka czcigodnego Walickiego, a nawet u niego nocowałem i widziałem na własne oczy, jak sam hrabia zamiatał sobie pokój, nosił wodę ze studni, rąbał drzewo, palił w piecu i przygotowywał pokarm dla dwóch pięknych wyźłów, gdyż prócz sześciu rubli, które mu płacili Moskale, nie miał innego źródła do utrzymania. Pan Walicki stołował się u państwa Skobejków, Litwinów, zesłanych także do tej osady za polityczne przestępstwo. Wskutek starań różnych wpływowych osób, po kilku latach pozwolono hrabiemu zamieszkać w Irkucku, gdzie spełniał obowiązki bibliotekarza polskiej i zarazem sybirskiej biblioteki.

W roku 1876, w miesiącu sierpniu, kiedy mieszkałem po raz drugi w Irkucku, hrabia Walicki zaprosił do siebie pewnej niedzieli kilku znajomych Polaków na preferansa. Podczas herbaty został tknięty apopleksją i skończył nagle swe wygnańcze życie. Pochowaliśmy go na irkuckim cmentarzu.

Ale za daleko odstępiałem od głównego mego opowiadania. Aby nie uprzedzać faktów i nie przerwać wątku, powracam znowu do irkuckiego więzienia, które dało się nam wszystkim Polakom dobrze we znaki.

Ponieważ niemożliwą było rzeczą utrzymywać się z żołądka dziennego, w sumie z trzech i pół kopiejki, bo w tym czasie funt razowego, żytniego chleba kosztował trzy kopiejki, a zatem pół kopiejki tylko pozostawało nam na gorącą strawę, więc urządziliśmy się w ten sposób: Wszyscy Polacy podzielili się na kilka oddzielnych kółek. Każde kółko składało się z pięciu, sześciu lub siedmiu ludzi. Do kółka, w którym byłem ja i hrabia Walicki, należało siedem osób, czterech z nas brało z kuchni więziennej aresztanckie obiady i kolacje, które wszyscy jedliśmy, a trzech brało pieniądze, to jest jedenaście kopiejek, i za takowe kupowaliśmy herbatę, cukier i bułki na wspólne śniadanie.

Hrabia Walicki., nie mogąc dłużej jeść nad jeden tydzień śmierdzących więziennych potraw, zastawił u pewnego irkuckiego kupca swój złoty zegarek w stu rublach i wiktował się u nadzorcy więzienia.

W Rosji i Syberii jest piękny i chwalebny na oko zwyczaj, że jeden rosyjski urzędnik wyższej rangi, tak zwany „sowietnik”, wizytuje każdego tygodnia miejscowe więzienie i zapytuje więźniów, czy otrzymują to, co im się należy. Otóż i w Irkucku odwiedzał nas podobny jegomość i zapytywał nas parę razy z ironią, czy jesteśmy zadowoleni z więziennego śmierdzącego wikt i czy otrzymujemy go w przepisanej proporcji?

Pewnego razu, gdy przyszedł do więzienia tenże urzędnik z podobnym zapytaniem, diakon Nowicki, rozgniewany na sowietnika za jego niewczesne kpiny, odparł mu:

„Panie sowietniku! Muszę panu powiedzieć prawdę, że my, Polacy, karmiliśmy w swym rodzinnym kraju, daleko lepiej świnie i dawaliśmy im daleko lepsze i świeższe jado w korycie, aniżeli wy dajecie nam, ucywilizowanym ludziom, potrawy w więzieniu”.

Wizytator, usłyszawszy te słowa prawdy, zarumienił się ze wstydu po same uszy, wyniósł się czym prędzej z kazamaty i nie pokazywał się przez dłuższy czas w więzieniu. Nareszcie, gdy po pewnym czasie odwiedził nas znowu, był ostrożniejszy i zapytywał tylko przez uchylone drzwi, czy otrzymujemy regularnie należne nam pieniądze.

W czasie naszego pobytu w owym więzieniu zbliżała się uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, wszyscy tedy pragnęliśmy odbyć wielkanocną spowiedź i wysłuchać Mszy św. W tym celu napisaliśmy zbiorową prośbę do generał-gubernatora pana Korsakowa¹³, prosząc go, aby pozwolił księdzu Krzysztofowi Szvernickiemu¹⁴, proboszczowi irkuckiemu, udzielić nam tej duchowej pociechy. Na co w odpowiedzi na trzeci dzień świąt przybył do więzienia czcigodny proboszcz i urządziwszy w mieszkaniu nadzorcy ołtarz, wyśpowiadał nas katolików i odprawił Mszę św.

Ksiądz Szvernicki, po nabożeństwie żegnając się z nami, oświadczył, że za kilka godzin jeszcze nas odwiedzi. Jakoż pod wieczór powrócił do nas z dwoma pełnymi koszami święconego pieczywa, które zebrał od rodaków mieszkających stale w mieście Irkucku. Nadto dał z własnej kieszeni każdemu księdzu po trzy ruble, a innym politycznym więźniom po rublu. Po chwilowej pogawędce ksiądz pożegnał nas ze łzą w oku i udał się do swojej ubogiej plebani, położonej tuż obok małego, ale pięknie i czysto utrzymanego kościółka.

Po upływie kilku tygodni, przekonawszy się, że rząd gubernialny irkucki nie myśli wcale wysłać nas do miejsc nam na osiedlenie przeznaczonych, zawzwaliśmy do więzienia pułkownika żandarmów, ażeby mu donieść o tym i prosić o uwolnienie nas stąd.

Nazajutrz rano wskutek naszego wezwania przybył do więzienia Duwing, żandarmski pułkownik, i wywoławszy wszystkich politycznych więźniów na dziedziniec, zapytał, po co go wezwano. Gdyśmy mu wyłuszczyli naszą prośbę, odrzekł:

„Wiercie mi panowie, że nie wiedziałem wcale o tym, iż irkucki zarząd postępuje z wami w ten nieprawny sposób, i dlatego natychmiast udam się do generał-gubernatora, aby ten wydał rozporządzenie, by jak najrychlej wysłano was stąd do przeznaczonych wam wsi na stałe pomieszkanie”.

Na drugi dzień po wizycie pana Duwinga wchodzi raniutko, bo jeszcze spaliśmy, do naszej kazamaty nadzorca więzienia i odczytuje głośno nasze imiona i nazwiska, dodając przy tym nazwy miejscowości, które nam przeznaczono na osiedlenie. Wszyscy słuchaliśmy z wielką uwagą tej litanii, bo każdy lękał się najbardziej tego, aby nie przeznaczono go do jednej z gmin leżących przy jakuckim trakcie nad rzeką Leną. Nieszczęście tak chciało, czy też może irkucki urzędnicy pomścili się na nas za to, że skarżyliśmy się na nich przed żandarmskim pułkownikiem, przeznaczono nas prawie wszystkich na osiedlenie do różnych wiosek przy owym jakuckim trakcie. Trzech zaś przeznaczono do najodleglejszych gmin irkuckiej guberni, a mianowicie: Lewandowskiego – do

¹³ Michaił Korsakow (1826-1871) gen.-gubernator wschodniej Syberii.

¹⁴ Właściwie: Krzysztof Szvernicki (1814-1894), marianin z Mariampola, w 1850 r. zesłany na Syberię za rozprowadzanie zabronionej przez cenzurę literatury i kontakty ze spiskowcami. Dobrowolnie pozostał w Rosji. Do śmierci był proboszczem w Irkucku, wspomagał polskich zesłańców, nazywany „Aniołem Syberii”.

witymskiej, mnie do Pietropawłowskiem i Szykułę¹⁵ – do orlińskiej gminy. W końcu nadzorca oświadczył, że zostaniemy wysłani z Irkucka na miejsca przeznaczenia za tydzień, gdyż rząd musi jeszcze wyasygnować z kasy gubernialnej pieniądze na furmanki dla nas Polaków, jako dla uprzywilejowanych osób, a na to potrzeba dłuższego czasu.

Prawie wszyscy polityczni więźniowie, wysiedziawszy się po kilka tygodni w irkuckim więzieniu, nie chcieli czekać na owe pieniądze, ale prosili, aby wysłano ich porządkiem etapnym do przeznaczonych gmin i nazajutrz opuścili Irkuck. Ja zaś z Kwiecińskim, jako przeznaczeni do odleglejszych gmin, zostaliśmy w więzieniu i postanowiliśmy czekać na wyasygnowanie pieniędzy, które po tygodniu otrzymawszy, wyruszyliśmy w drogę.

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 r., ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRR. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *nie ludzkiej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku
ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok
tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl
www.sybir.com.pl

¹⁵ Dość konsekwentnie pisze Matraś to nazwisko w pamiętniku: Szekuła; zapis Szykuła występuje także w dokumentach władz gubernialnych lubelskich (Archiwum Państwowe w Lublinie).